

2

**Z
T
V
R
A
K**

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY SZKOLNEJ



WYDAWCA: „SAMOPOMOC”
PRZY GIMN. IM. R. ASNYKA

LISTOPAD - 1932.
ROK TRZECI.

SZTUBAK

Redakcja i Administracja główna: Kalisz, ul. Grodzka, gimn. Asnyka. Redaktor naczelny: T. Pniewski, kl. VIII

11 listopad
1918 1932

W czternastą rocznicę

Kiedy trzy czarne orły rozpoczęły ze sobą bój śmiertelny, kiedy ciemieźcy nasi na siebie cisnęli swe zbrodnicze instynkty, narodowi udręczonemu w pętach niewoli, zaświtała jutrzeńka nadziei. Wtedy powstał z niego Wódz, jednoczący w Sobie genjusz wojenny, zdolności organizacyjne i niezwykle zalety charakteru.

Potęzną siłą Swego niepożytego ducha dokonał mimo ogromnych trudności, wiekopomnego czynu: zburzył gmach więzienny i ukazał nam Ojczyznę wolną, z blaskiem zwycięstwa na czole.

Szary Komendant „Dziadek“ ukochany przez żołnierzy, ziścił sny wieszczów naszych; sprawił to, że my — młodzież polska w polskiej się uczymy szkole, niedoprawowani już przez rosyjskich nauczycieli-satrapów, nieponiewierani więcej przez butnych pruskich junkrów, niekrzywieni obłudą austriackiej szkoły.

I dlatego dziś, gdy 14 lat upływa od tej pamiętnej chwili, myśli nasze zwracają się do stolicy Polski, gdzie przebywa Ten, co na życie całe poświęcił siły Ojczyźnie, a serca nasze biją żywiej tętnem gorącej wdzięczności dla swego Wielkiego Przyjaciela.

Dlatego dziś, w Święto Niepodległości, młodzież polska Ciebie, Marszałku, bierze sobie za wzór poświęcenia dla Ojczyzny, jasno patrzy w przyszłość, ugruntowaną już na trwałych fundamentach przez Ciebie i wierzy, że Ty ją poprowadzisz do świetności!!!

Redakcja.

Na Święto Niepodległości

Dzień 11-go listopada 1932 r. to czternasta rocznica zrzucenia ohydnych kajdan niewoli, które naród polski przez sto kilkadziesiąt lat dźwigał, nie wyrzekając się nigdy niepodległości.

Półtorawiekowa blisko niewola, to ustawiczna walka z zaborcami o utrzymanie polskości i wiary w lepszą przyszłość; tysiące Polaków gnilo po więzieniach, w katorgach, pędziło nędzny żywot zesłańców w mroźnych śniegach Syberji, lub ginęło na szubienicach jako ofiary przemocy wrogów, ale te męki, te katusze, te ofiary krwi i życia nie poszły na marne.

Przyszła „wojna powszechna za wolność ludów“ o którą modlił się Mickiewicz, ziściły się wieszczce słowa Mierosławskiego: „Runęły trony państw ościennych, pozostała Wolna i Niepodległa Polska“.

Garść bohaterów z Józefem Piłsudskim na czele porwała się, by w tej strasznej walce gigantów czynny wziąć udział, by skruszyć swe siły o bagnety wrogów i zdobyć wymarzone przez pokolenia jutro.

Ta garść bojowników zdecydowała o losie Polski.

Całemu światu bluznęła w oczy młoda, gorącą krwią polską, pokazała, że taki naród zginąć nie może. I nie daremnie walczyła.

Powoli z tej pożogi wojen, za cenę bohatersko przelanej krwi, wyzwala się Nieśmiertelne Imię Polski.

Trzej zaborcy, którzy ongiś dokonali haniebnego zbrodni rozbiórów, ponieśli klęskę, a dumne Niemcy musiały prosić z początkiem listopada 1918 r. o zawieszenie broni.

Na wieść o tem wydano w Polsce hasło rozbrojenia Niemców 11 listopada 1918 r., a śmiało to przedsięwzięcie, mimo szczupłości naszych sił udało się nadspodziewanie dobrze. Całe kompanje i bataljony niemieckie składały broń i wszelkie materiały wojenne w ręce wojsk polskich, zorganizowanych głównie z Legjonistów. Mnóstwo amunicji, tysiące karabinów, setki dział, aeroplanów i samochodów przeszło na własność Polaków. Następnie w krótkim stosunkowo czasie odstawiono do granicy dotychczasowych ciemieców i — kraj odetchnął wolną pierśią, a zmartwychwstała Polska rozpoczęła żywot państwa niepodległego, choć jeszcze przeszło dwa lata ciężkie musiały staczać boje z różnymi wrogami, a zwłaszcza z Bolszewją.

To też w początkach niepodległości ziemie dzisiejszej Rzeczypospolitej pogrążone były w zamęcie.

Było kilka rządów, których nikt nie chciał słuchać; partje polityczne traciły czas i energję na walki wewnętrzne. W Małopolsce Wschodniej szalała pożoga wojny polsko-ukraińskiej, ku Śląskowi Cieszyńskiemu ostrzyło apetyty ze wschodu wyłaniało się już widmo czerwonego najazdu. Wewnątrz bezbronnego kraju dzika demoralizacja, agitacje komunistyczne, głód, ruina miast, wsi i przemysłu,

tego wszystkiego, co powinno stanowić podstawę tworzenia organizmu państwowego.

Położenie było tak beznadziejne, że wielu umysłom odbudowanie państwa samodzielnym polskim wysiłkiem, wydawało się niemożliwe.

Inaczej zapatrywał się na sprawę Wódz Legjonów, Józef Piłsudski.

Biorąc nazajutrz po powrocie z Magdeburga, w historycznym dniu 11-go listopada 1918 r. najwyższą władzę w Polsce, opierał swój program odbudowy na samodzielnym wysiłku całego narodu.

Zaczął od tworzenia siły, która miała zapewnić Polsce ostanie się wobec zagrażających niebezpieczeństw zewnętrznych oraz fermentów wewnętrznych. Jednocześnie rozpoczęło się wznoszenie pozostałych zrębów państwowości, aż wreszcie po nadludzkim wysiłku zarysowały się kontury olbrzymiego gmachu.

A i ta praca nie odbywała się bez walk i zgrzytów.

Lecz Józef Piłsudski wszystko zwyciężył — pchnął Polskę na drogę wielkości i nadał jej kształt, godny naszych najpiękniejszych tradycji dziejowych.

Dziś w czterdnastą rocznicę powrotu do samodzielnego życia państwowego do tego stopnia zadziwia nas ogrom dorobku, że trudno wprost uwierzyć, jakoby Polska tyle lat nie istniała.

Tymczasem czterdnastcie lat temu przyjaciele nasi z niepokojem, a wrogowie z lekceważeniem spoglądali na rozwój naszego życia państwowego. Nie wierzyli, by z kraju wynędzniałego przez politykę państw zaborczych i przez wojnę można było stworzyć jakiegokolwiek państwo. Gdańszczanie drwili z przyznanego nam kawałka morza, gdyż dzierżąc w swem ręku jedyny port tej części Bałtyku, sądzili, że odbiorą nam możność istnienia.

Jakżeż srodze się zawiedli.

Pod ich bokiem wyrósł wspaniały, wielki port Gdynia, wobec którego Gdańsk będzie wkrótce niczem.

Gdańskie „niemczaki“ po dawnemu będą frymarczyć fładrami, a sławne miasto, jeśli nie wróci do Polski, wróci do swych dawnych tradycji prowincjonalnej miłośnicy.

Kto chce zobrazować sobie ogrom dorobku naszego państwa, niechaj spojrzy na Gdynię. Jest ona naszą dumą i radością, tem większą, że nie jest jedynym sprawdzianem rozwoju naszego państwa.

Wróćmy myślami do tego cudnego dnia listopadowego 1918 r. i porównajmy ówczesny Kalisz z dzisiejszym, a zobaczymy ile nowych gmachów przybyło, jak zmieniły swój wygląd ulice.

Wyjdźmy za miasto, a stwierdzimy jak poprawiły się drogi, ile mamy wspaniałych szos, których przed czterdnastu laty nie było.

Gdy przejdziemy do nieco głębszej obserwacji, stwierdzimy może jeszcze więcej radosnych faktów. Nasze wysoko postawione szkolnictwo, dobrze zorganizowana armja, sprawny aparat rządowy, koleje, szpitale, przemysł, handel, wszystko to jest rzeczywistością, powstałą przez potężną, twórczą wolę.

I takich przykładów można podać wiele, bardzo wiele...

Dziś również znajdują się rządy w tych samych wypróbowanych dłońach, które rzeźbiły naszą teraźniejszość.

Ci sami ludzie, którzy krwią swą wywalczyli niepodległość w dalszym ciągu rozbudowują naszą Ojczyznę, wzywając do współdziałania także młodzież, jako przyszłych obywateli, których obowiązkiem będzie utrzymanie niepodległości Polski.

Cóż robić? zapyta niejeden z nas. Wskazówką niechaj będą słowa poety:

„Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei.
Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec!”

Zatem miłość Ojczyzny — Polski, pełna poświęceń i ofiarności, winna kierować wszelkimi naszymi postępkami, a Polska nie wzgardzi naszą miłością, nie zawiedzie, nie odepchnie, przeciwnie, obdarzy bezcenną nagrodą — pozwoli zginąć dla siebie.

A gdy sterani pracą dla Jej dobra, lub rażeni przez wrogów padniemy — utuli nas w ramionach i staniami się Jej własnością nazawsze. Lecz przy pracy naszej z czcią wpatrujmy się w gwiazdę Marszałka Józefa Piłsudskiego, którą duch dziejów polskich zapalił na niebie naszej Ojczyzny w tą głuchą i ciemną noc niewoli, gdyż tam zawsze znajdziemy dwa tylko słowa: „Miłość Ojczyzny”.

Program „Sztubaka“

Artykuł dyskusyjny

Z pomocą Bożą i ludzką rozpoczęliśmy trzeci rok wydawnictwa „Sztubaka“, z dotychczasowych numerów widać jednak brak bliżej określonego programu. Każdy numer naszego pisma był właściwie zbiorem różnego rodzaju próbek literackich. Od czasu do czasu ukazywał się artykuł ideowy, za każdym jednak razem poruszał inne hasła, czy dążności wśród młodzieży. Dlatego też „Sztubak“ nie tworzył nigdy zwartej i silnej placówki kulturalnej na terenie kaliskich szkół średnich i działalność jego, co za tem idzie, nigdy nie mogła wywołać pożądaných skutków. Rozstrzelony zawsze charakter pisma wpływał jedynie na to, że złośliwa krytyka miała zawsze na terenie „Sztubaka“ pole do działania. Otrzymaliśmy właśnie list od jednego z naszych poznańskich Czytelników, który tak określa charakter pierwszego numeru „Sztubaka“: „Sztubak“ zrobił na mnie wrażenie bardzo wojenne. Zieleniewski buduje kanonierki, Włas — samoloty, Kott rozdaje niedobitkom order, Garliński urządza sobie egzekucje..... Co, u diabła! — Brakuje jeszcze jakiejś epepei o łodzi podwodnej, której o mało co nie spłodził Koźmiński, jak wynioskowałem z jego wierszyka „Słońce i wino“. Ratuje sytuację Oleś Braude, który sobie poważnie i rzewnie „idzie sznurem melancholji od krzaczk do krzaczk“, no

i „pstryknięcie Jadzi Wajsówny”. Widzimy więc do czego prowadzi wydawanie „Sztubaka” bez jasno określonego programu. Niniejszym artykułem pragnę właśnie wywołać dyskusję na łamach „Sztubaka” nad przyszłym programem tego pisma. Celem Redakcji nie jest narzucanie hasła Czytelnikom, lecz właśnie wydobycie go od szerszych warstw czytającej młodzieży. „Sztubak” jest własnością całej młodzieży i od niej też powinno wyjść hasło, określające działalność pisma. W myśli, że sprawa ta znajdzie głęboki oddźwięk wśród Czytelniczek i Czytelników i, że z dyskusji wyłoni się program dalszego rozwoju „Sztubaka”, piszę ten artykuł i zapraszam do wypowiedzenia się na ten temat na łamach „Sztubaka” wszystkie tutejsze szkoły średnie.

T. P.

R. Braude.

Mojesz

*W głębiach nieruchomego, gorącego nieba
stało słońce trupie: — gorejąca świeca —!*

*Poprzez pustynię skwaru białego iść trzeba
do ziemi... której nigdy nikt mi nie obiecał.*

*A za mną długim sznurem — upiornym pochodem
powloką się narody wybrane przekleństwem..*

*Miljonem kroków gnani — gnani Wielkim Głodem,
na puszczy szukać będą swego człowieczeństwa.*

*I w przerażeniu będę rozbijał o skały
wszystko, com uczcił kiedy i uznał za święte.
Będzie się śmiało niebo i będą płakały
narody miljonowe, narody przeklęte.*

*Będę im prorokował, będę krzyczał w szale,
będę krzyczał tak głośno, abym sam uwierzył,
że źródło Prawdy Świętej tryśnie w życia skale,
że kres musi mieć droga, którą duch mój mierzy.*

*Kiedy się skwarne ptaki rozsiadły skrzydlate,
iść będziem pod pożogą spopielalej spieki...*

*Wielkim Głodem pędzeni, iść będziem lata —
wlec się będziem przez straszne pustynie przez wieki.*

*Już w głębiach wysokiego, gorącego nieba
stało słońce trupie: — gorejąca świeca —...*

*Poprzez pustynię skwaru białego iść trzeba
do ziemi... której nigdy nikt mi nie obiecał.*

Dlaczego?

Artykuł dyskusyjny

Żyjemy przez pewien czas w małym świecie młodzieży — w szkole. Jest to świat poniekąd zamknięty na odgłosy ze świata większego, który poznajemy dopiero w późniejszym życiu. Życie ucznia płynie wesołym, wartkim, lecz płytkim strumieniem. Cel (powiedzmy bez blagi) poprostu matura. Program pracy wytyczony rokiem, okresem, czasem nawet planem lekcji na najbliższy tydzień. Przeważnej części młodzieży wystarczy spełnianie (zapewne w tem miejscu pesymista uśmiechnie się ironicznie) swego obowiązku. W ten sposób osiągnięte zadowolenie wystarcza im w zupełności. Uczeń zapomina, że szkoła daje mu tylko wiadomości potrzebne do dalszego życia, lecz bynajmniej nie wskazujących drogi w życiu, nie wyświetlających wielu zagadek, wobec których staje absolwent. Staje w obliczu świata — sfinxa i opada go zwątpienie w swe siły. Przeważnie jednak, nie zastanawia się nad przyszłością. Młodzieńczą duszę podnieca wolność, miano człowieka dojrzałego.

Myśli fantastów zeglują po barwnych, wabiących falach marzeń. Dziewiętnastoletni, „dojrzały ludzi“, napawają się swą dojrzałością i z rozczuleniem wspominają „odległe czasy“ — „gdy to się onego czasu chodziło jeszcze do szkoły, to...“ niektórzy nie myślą poprostu nic — są zadowoleni, że nikt ich teraz nie zmusi do myślenia i pograżają się w słodkiem nieróbstwie. Zdaje im się, że skończyli najważniejszy okres życia, okres pracy, po którym pójdzie wszystko lekko, łatwo. Tymczasem wstępują do nowej, trudniejszej szkoły — szkoły życia. Nie myśleli o niem w szkole, nie zastanawiają się głębiej i teraz. Człowiek odważny nie lęka się zazwyczaj przyszłości — człowiek bezmyślny nie lęka się jej wcale, bo o niej nie myśli. Dziewiętnastoletni człowiek wybiera zawód. Wybiera między niewiadome, z których żadna nie ęci specjalnie, nie bada ani warunków pracy, ani swych możliwości na danem polu. Probierzem jest wysokość pensji. Czasem wybór zawodu zostaje podsunięty przez najbliższych, a niezawsze jest to rada światła. Czasem (bardzo rzadko) zbyt wybujała fantazja cwałująca przez życie bez cugli, poniesie zbyt daleko, aż niespodzianie zatrzyma się przed niezwykłą przeszkodą — przed realnem życiem.

Powstaje decyzja, która najczęściej zawodzi; czasem niema już drogi powrotu i życie toczy się przypadkowym, fałszywym korytem i wysycha gdzieś samotnie, bezpożytecznie. Młody człowiek wstępuje na nową drogę życia bez entuzjazmu, bez odrobiny zapału, nieufnie patrzy na budowany przez siebie szlak, który prowadzi w pustkę. Zniszczeje ślad podobnego człowieka, bo nie kochał życia, bo był na ziemi narzędziem, niezdolnym do umiłowania czegośkolwiek. W ten sposób powstają rzesze malkontentów. Pracują dla zapewnienia sobie egzystencji, z musu, nie zaś z zamiłowania. Z zajęciem nie łączy go żaden węzeł uczuciowy, praca nudzi go i męczy. I snuje się życie jak dzień jesienny, w którym przeblyskiem

słonecznym jest chyba podwyżka pensji. Tak jest. Lecz dlaczego się tak dzieje? Gdzie należy szukać przyczyny? Ja sądzę, w nas samych — młodzieży szkolnej. Kto obserwuje duchowe życie młodzieży, ten spostrzeże zapewne, że niema ona ściśle określonych zamiłowań. Na palcach możnaby wyliczyć tych, którzy wiedzeni początkową młodzieńczą fantazją, umacniali się później w swych planach, starali się poznać choć powierzchownie przyszły zawód i zbadać swoje ku temu kwalifikacje. Ci wyjdą ze szkoły z celem w życiu, będą się rwali do pracy w wybranym zawodzie. Praca da im zadowole, życie nie poskąpi słońca. Jednak dlaczego mamy tak mało ludzi z określonymi zamiłowaniem.

Można zauważyć, że w młodszych klasach młodzież więcej marzy o przyszłości, więcej myśli o tem, czem chciałaby być kiedyś. W wyższych klasach zjawisko to występuje słabiej. Czyżby ciężkie warunki życia zabijały w zarodku wolniejszą lecz nierealną chwilowo myśl? Czyżby atmosfera walki o byt, otaczająca naszych rodziców, przesącała się również do naszych serc i zniżyła lot myśli jedynie ku zagadnieniom praktycznym?

Mickiewiczowskie „Młodości! Orla twych lotów potęga!” wygląda dziś, prawie, że ironicznie. Bo naprawdę młodzieńczych wzlotów dziś mało. Czy może natura obdarzyła powojenne pokolenie tak słabą fantazją, że nie marzymy o niczem, nie pragniemy niczego prócz znośnej egzystencji? Czyż naprawdę niema jednej chociaż dziedziny życia, która potrafiłaby ześrodkować nasze zainteresowania? Przecież mamy przykłady, że zainteresowania młodzieży można bardzo łatwo porwać. Naprzykład sławne Yo — Yo.

W jakim skupieniu bada „myślący” uczeń niezgłębione tajemnice ruchu najgenjalniejszego z wynalazków XX stulecia. Może pomysłowy wynalazca utrafił w sedno zamiłowań młodzieży i uszczęśliwił ją. Może „o czem stulecia śniły jeno mętnie, On to przewidział jasnowidza okiem” i stworzył nareszcie zabawkę, która zaspakaja pragnienie — bezmyślności. Poczóż myśleć o przyszłości, o życiu, o jego celach? Chwyłanie magicznego krążka zaspokoї nasze pragnienia. — Lecz dlaczego tak jest? Dlaczego dzisiejsza młodzież nie objawia wyraźnych zamiłowań? Z czego to wypływa?

Może Wy, Czytelniczki i Czytelnicy zabierzecie głos w sprawie interesującej nas wszystkich?

6 — 13. XI. 1932 r. Tydzień zagadnień polsko-niemieckich. Każdy Polak winien być dobrze uświadomionym o niebezpieczeństwie z zachodu!

Latarnia

Zaciszny zaułek... ciemno... ponuro...
wąska ulica... stare kamienice
współ pochylone... oknami od góry
szepcą coś sobie — ich to tajemnice — — —
z rynsztoka — pod bramą czarną,
sterczy koślawo latarnia
i światłem przybladłem — trupiem,
liże oślizgłe te mury,
we wnękach czarnych się łamie,
po niszach okien się tłucze
i drżąca pełźnie po ścianie...
krzywa latarnia gazowa
cieniem swym wpoprzek ulicy
skrada się cicho —
ze strachu,
w dziury na jezdni się czoła,
chwila — i znów się ukaże,
choć drżąca — wnet biegnie dalej...
zdyszana do muru przypadła —
już pnie się pod górę wytrwale,
chwile po ścianie bladej
toczy się szybko — trwożliwie —
w czeluść okienną już wpadła
i znikła — by więcej nie wyrzeć.

drzemie latarnia schylona,
pryska światłem chybotliwym,
zatargał nią wiatr — stary zrzęda,
wnet mury zadrżały lekko...

Ramesz.

Żądza życia

W mrokach podziemia ozwał się miarowy oddech kolejki i wilgotne korytarze kopalni rozbrzmiały monotonnym dudnieniem. Osłabł, wreszcie zcichł zupełnie chrapliwy syk, wżerających się w węgielną ścianę świrdów.

Antek, syp po obiad, — zawołał stary sztygar. Otarł spoczną twarz brudną, kraciatą chustką i przysiadł na złomie węgla. Antek odrzucił kilof i zagłębił się w ciemny korytarz, skąd dochodziło coraz bardziej natarczywe dzwonięcie. Chwilę jeszcze błyskało z oddali światło latatarki i znów korytarz patrzył czarnym, nic niemówiącym oczodołem.

„Ten nowy chodnik coś za mocno gnije” — mruknął szytar Białas — musimy po obiedzie sprawdzić stemple. Jakoś Antek długo nie... Umilkł i wpatrywał się z natężeniem w czołuszc korytarza. Otaczających go górników doleciał odległy pomruk, przechodzący błyskawicznie w jednostajny, potężniejszy stale grzmot. Huk walącego się korytarza zbliżał się coraz bardziej do zamaryłych z przerażenia górników. Ściany pękały ze złowieszczym hukiem, wypływając z rozpadlin masy pomniejszych odłamków. Podtrzymywany sztucznie pułap gniół przemożnie grube stemple, które gięły się w nierównej walce, łamały się z trzaskiem suchym, bezdźwięcznym. Uderzające w chodnik bloki węglowe rozбивały się na mniejsze bryły, rzucały się na siebie zajadle rozdrabiając się coraz więcej, wreszcie spoczywały przygniecione wałecami się masami węgla.

Z korytarza buchnęła chmura czarnego pyłu i przyćmiła do reszty światło latarek.

Antek ocknął się i jęknął z cicha. W całym ciele czuł tępy, nie pozwalający na zebranie myśli ból. Starał się podnieść. Podparł się ręką i syknął. Przejmujący ból zranionej odłamkiem szkła ręki przywrócił mu przytomność. Usiadł i starał się uporządkować rozpierzchłe myśli.

Powrót z obiadem... trzask... paniczna ucieczka korytarzem przed goniącym go strumieniem węgla... ..wreszcie utrata przytomności.

Doleciały go jakieś głosy. Obejrzał się. W bladym świetle latarki ujrzał swych towarzyszy skupionych około starego Białasa.

Pogódźcie się z losem — doleciał go poważny głos starego. Chociaż nas nie zasypało, to jednak cały korytarz się zawalił. Mogą nas odkopać za jakieś siedem dni, a tymczasem pomrzemy z głodu. Najszczęśliwszym z nas był Antek, bo przynajmniej przedko skończył.

Dziwny grymas wykrzywił twarz młodego górnika. Nie martwiecie się; i ja zdechnę z głodu — pomyślał. Wzdrygnął się i spuścił głowę. Nagle przypomniała mu się flaszka, o którą zranił sobie rękę. Szukał długo, wreszcie omal nie krzyknął z radości. Jego drżące ręce namacały koszyk z obiadem, którego dziwnym trafem nie upuścił podczas ucieczki. Dysząc ciężko badał zawartość koszyka. Tylko dwie butelki były stłuczone. Na siedem dni starczy, pomyślał. Usłyszał szmer i sprężył się, gotów do obrony. Uspokoił się nieco i starał się zastanowić nad swym położeniem. Że im nic nie dam, to pewne. Dla wszystkich nie starczy. Wreszta, czyżbym się wyrzekł dla nich własnego życia. Zaszył się w najodleglejszy kąt pieczary i obserwował ich zdala. Przeważnie siedzieli posepni, zreygnowani. Tylko stary Białas uspakajał syna. Młody chwycił ojca za piersi i głosem chrapliwym, proszącym, żądał od niego ratunku. — Ojczu, ja chcę żyć. Namówiłeś mnie do kopalni, teraz radź. Mów, że będę żył, bo... W jego dzikim, obłąkańczym wzroku czaiła się groźba i nienawiść.

Stary milczał.

— Słyszysz, przez ciebie mam zdychać z głodu jak pies pod płotem! Za tę dziesięcioletnią harówkę taka zapłata! To przez ciebie! Radź teraz, ty najlepiej znasz kopalnię, ty wiesz, że możemy być uratowani!

Stary odepchnął syna i odszedł na bok; jedyny korytarz prowadzący do pieczary, został zasypany.

Antek patrzył i coraz mocniej przyciskał koszyk. Godziny długie jak wieki opływały niszę, przygaszając powoli życie. Antek nie zdawał sobie sprawy z biegu czasu. Jakiś, gdy go głód do tego przymusił i znowu siedział nie zdradzając się niczem. Początkowo bał się zasnąć, lecz z czasem, gdy ujrzał jak górnicy poruszają się coraz wolniej, coraz mniej mówią... przestał się obawiać. Po wielu, wielu godzinach czy dniach, porozkładali się bezwładnie i tylko syczące przez zaschnięte gardła oddechy świadczyły o tem, że żyją. Czasem jęk słaby unosił się nad leżącymi, błąkał się chwilę pod pułapem i konał gdzieś w zakamarkach pieczary.

Mniejwięcej piątego dnia obudził Antka odległy szmer. Zerwał się i spojrzął w stronę leżących. Zauważył, jak młody Białas czołga się z wysiłkiem w stronę porzuconych narzędzi. Nie bał się ich już wcale, więc wyszedł z kryjówki i zbliżył się do pełzającego. Białas odszukał kilof i oświetliwszy latarką podłużny, walcowaty przedmiot, podźwignął z wolna do góry trzymane narzędzie. Nagle Antek, obserwujący z zaciekawieniem jego ruchy, doskoczył do niego i silnym kopnięciem odrzucił go na bok.—A cholera — toby mnie urządził.—Pozbierał rozrzucone ładunki dynamitowe do skrzynki i usiadł na niej. Spojrzął pogardliwie na leżącego. Białas wbił w niego wściekły, nienawistny wzrok. Zapiekłe usta poruszyły się w jakimś okropnym przekleństwie. Roześmiał się Antek.— Chciałeś z szumem do piekła zajechać — Co? Nie bratku, zdychaj jak i inni.

Zabrał skrzynkę i poszedł do swego kąta. Wkrótce zasnął. Gdy się obudził, górnicy nie dawali już znaku życia.

Był sam.

Odwrócił od nich oczy i patrzył tępo w migotliwe światło latarki. Nie chciał o nich myśleć, nie chciał patrzeć w ciemności, w których leżeli oni.

Płomień latarki błysnął żywszym płomieniem i zgasł.

Ogarnęła go ciemność.

Obejrzał się trwożliwie.

Nie byli straszni gdy ich widział, lecz teraz przestał się orjentować gdzie leżą i zdawało mu się, że otaczają go zewsząd.

Pragnął być od nich jak najdalej. Ruszył po omacku, nadeptał coś miękkiego, schylił się i wrzasnął przeraźliwie. Przeraził się własnego głosu. Już nie szedł. Bieg na oślep, aż upadł na ścianę i osunął się zmęczony.

Paniczny strach podrywał go na nogi za najmniejszym szmerem. Napięte do maximum nerwy nie wytrzymały. Zemdlał. Nagle z ciemności wynurzyły się wykrzywione twarze górników. Szli z kilofami wzniesionymi do góry. Szli wolno, pewni swego. Jakieś krwawe łyski obiegły ostrza ich broni. Czeka ciosu. Cios tak

długo nie następuje. Podnosi głowę. — Zdechniesz sam — szepcą widma. — Nie chcę — skończcie. Rzuca się na nich. Obudził się. Drżał cały. Złany potem szedł chwiejnie do skrzynki z dynamitem.

Długo jej nie mógł znaleźć, wreszcie ręce jego pieściły śliskie boki ładunków. Uspokoił się. Podniósł bryłę węgla.

Sciany zadudniły miarowym stukaniem. Zrozumiał. Był ocalony. Zdawało mu się, że słyszy nawet głosy ekspedycji ratunkowej. Radość życia opłynęła gorącą falą jego członki. Pewność, że będzie żył, przyszła tak niespodzianie, że zawirowało mu w głowie. Trzymana w ręku bryła węgla osunęła się na ziemię. Sciany pieczary zakotływały się gwałtownie, powietrzem targnął potężny grzmot.

Jaga Boreżko i He - Lena, gimn. A. Jagiellonki.

Oda do ściągania

...maturzystom....

*O, najcenniejszy sztubacki klejnocie!
Co nas ratujesz w niejednym kłopotcie
Zastąpić ciebie nic nam nie jest w stanie...
Tyś jest ściąganie!*

*Ciebie czczą wszyscy na świecie sztubacy
Bo od nas nigdy nie wymagasz pracy,
I zawsze dajesz dobre rezultaty
...I bez zapłaty!*

*Do Ciebie mają wszyscy dostęp wolny
Nieuk i próżniak i tępy i zdolny,
Każdy się Tobą zwykle też ratuje
Gdy nie wykuje.*

*Tyś jest wytrychem wszech-umiejętności,
Ty zastępujesz największe zdolności,
Przy takiej pracy najgłupszy jest w stanie
Zrobić zadanie.*

*Tyś jest ucieczką, gdy się nic nie umie,
Tyś milion w sumie!
Ty jesteś cnotą daną od natury:
Kto Cię posiada — pewny jest matury,
Kogo zaś zdradzisz, nie pomoże ucha,
Z maturą kruchol!...*

*Kto Tobą gardzi, i kto nie zna Ciebie,
Ten z biedy na świat rzadko się wygrzebie,
Jeśli się kuje nad podręcznikami,
Całymi dniami.*

*Choć na Cię kłeski, pioruny ciskają,
Choć Cię za straszną zbrodnię uważają,
My Cię zaś jednak czcimy i kochamy,
Hold Ci składamy!!!*

Wspomnienie

Chociaż przeżywam właśnie okres największego rozkwitu młodości, choć z zapałem oddaje się przyjemnościom i obowiązkom właściwym memu wiekowi, choć życie porywa i mnie w swój szaleńczy, nieprzerwany bieg, często jednak przychodzą na mnie chwile, w których ogarnia mnie zniechęcenie i apatia, a przyszłość maluje się przedemną w czarnych, odpychających barwach. Wtedy unikam ludzi, staram się znaleźć jakiś przytulny, zaciszny kącik i potrafię w nim przebywać całymi godzinami, puszczać wodze myślom i pamięci. I wtedy staram się zagłuszyć w sobie świadomość rzeczywistości, przenieść się myślą do minionych, beztroskich lat i spojrzeć na nie jeszcze raz wesółemi oczyma dziecka.

Przez mą świadomość przepływają wtedy całe szeregi obrazów owianych jakimś dziwnym urokiem spokoju i radości życia. Wydaje mi się, że znowu słyszę bicie serc, które mnie kiedyś kochały i czuję, że i we mnie odżywają te same uczucia, które wtedy przenikały nawskroś moją dziecinną duszę.

Co roku jednak obrazy te mętnieją i rozplývają się coraz bardziej. Sceny, które jeszcze niedawno wywoływały szybsze bicie serca i wznowiały uczucia, teraz stały się już tylko obojętne prawie fragmentami, a za parę lat przestaną zupełnie istnieć, lub oniemiają i staną się martwe i beztreściwe.

Są jednak obrazy, których nawet najdłuższy przeciąg czasu nie potrafi wymazać z mej pamięci. One pozostaną w niej na zawsze, a przypomnienie ich będzie wywoływać za każdym razem te same, niestłabnące uczucia. Jeden zwłaszcza z nich staje mi zawsze przed oczyma, gdy tylko zwrócę się myślą ku przeszłości. To obraz Matki. Wtedy, gdy byłem jeszcze dzieckiem, nie uświadamiałem sobie należycie uczucia, jakie żywiłem względem Niej. Wystarczało mi przeświadczenie, że ona istnieje, że myśli o mnie, że opiekuje się mną i, że w każdej chwili mogę się do niej zbliżyć i przytulić. Potrzebowałem jej, jak potrzebuje matki każde dziecko, które nawet już w kołysce wyciąga drobne rączyny i śmieje się radośnie, gdy tylko pochylił się nad niem znana mu dobrze, jedyna na świecie twarz. Ono napewno nie zastanawia się, czy tę matkę kocha. Poprostu istnienie jej wydaje mu się czemś tak naturalnym, tak koniecznym, że nie jest nawet w stanie wyobrazić sobie jej braku. A jednak mimo całej nieświadomości uczucia kocha ją, kocha ją napewno. Wystarczy tylko jeden moment trwogi, gdy tej matki na chwili może tylko zabraknie, ażeby zbudzić uczucia i wywołać świadomość, że jednak matka jest czemś więcej, niż zwykłą opiekunką, którą się tylko lubi, ale prawie nigdy nie kocha.

I ja również przeżywałem taki przelomowy moment. Do dziś dnia dokładnie pamiętam ten dzień, w którym serce moje poczęło żyć naprawdę. Miałem wtedy zaledwie sześć lat i wiele pojęć i uczuć było dla mnie niedostępnych. Nie rozumiałem jeszcze strasznego znaczenia słowa „wojna”. Nie wiedziałem ile treści za-

wiera w sobie krótki, ale jakże potworny w rzeczywistości dźwięk „rewolucja”. Codziennie rano i wieczorem odmawiałem wraz z bratem pacierz za ojca, którego porwała ta tajemnicza „wojna”, ale czyniłem to zupełnie machinalnie i nieuświadamiałem sobie potrzeby tej modlitwy. I w ów pamiętny dzień również zmówiłem jak zwykle pacierz, ubrałem się, zjadłem śniadanie, słowem wykonywałem wszystkie swoje codzienne czynności. Na dworze tymczasem srebrzyła się cudowna, cicha, ukraińska zima. Śnieg otulał ciepłym kobiercem ziemię, pokrywał grubą warstwą dachy zabudowań i oblepiał drobnymi kryształkami nagie gałęzie drzew. Żółtawe promienie słońca załamywały się na lśniącej powierzchni śniegu i igrały wśród osrebrzonych konarów, wywołując jakiś bez troski nastrój ciszy i radości.

Radość ta jednak nie udzielała się nielicznym mieszkańcom dworu. Mimo pozornego spokoju czuć było w powietrzu jakąś tajemniczą trwożę, która napełniała także serca ludzi, spędzała uśmiech z ich twarzy i wytwarzała przygnębiający nastrój smutku i niepewności. Ja jednak w żaden sposób nie mogłem zrozumieć dlaczego nikt nie cieszy się jak zwykle z pięknej pogody, ale ogólne przygnębienie podziało i na mnie, to też tłukłem się po wszystkich kątach, nie mogąc sobie w żaden sposób znaleźć odpowiedniego zajęcia.

Tymczasem na dworze pogoda zaczęła się zwolna zmieniać. Lekki wiaterek, który dotychczas niewinnie igrał wśród konarów drzew teraz zmienił się w silny mroźny wichur, który podrywał z ziemi lśniącej kryształki śniegu i rzucał je z wściekłością o ściany zabudowań. Pogodne niebo zaciągnęło się zwolna ciemnymi chmurami i po chwili w powietrzu zawirowały pierwsze płatki śniegu, które porwane podmuchami wiatru rozpoczęły swój szaleńczy, nieskończony taniec i spowiły ziemię oślepiającą, migotliwą mgłą.

My tymczasem znaleźliśmy z bratem jakąś nieprzejrzaną jeszcze książkę i z zapalem zabraliśmy się do oglądania ilustracji. Zrobiło się jednak tak ciemno, że musieliśmy przejść do salonu, gdzie już paliła się lampa i na nowo zabraliśmy się do przerwanej zajęcia.

Przesiedzieliśmy tak może ze dwadzieścia minut, gdy nagle uszu naszych doleciał jakiś dziwny odgłos, jakby pobrzękiwanie dzwoneków jadących sanek. Momentalnie zerwałem się i z ciekawością podbiegłem do okna. Z początku nie dostrzegłem nic, ale po chwili coś mignęło mi wśród zamieci, a dzwonienie rozległo się blisko i wyraźnie. Przed gankiem zatrzymały się duże, parokonne sanki. Przez tumany śniegu widać było tylko brunatne lby konskie buchające parą i jakąś wysoką postać, która wysiadła z sanek i teraz uderzała silnie w drzwi, czekając na otwarcie. W pierwszej chwili wydało mi się, że to przyjechał ojciec. Z okrzykiem radości pobiegłem do przedpokoju, ale niestety zawiodłem się srodze. Nie był to wcale ojciec, tylko jakiś nieznanymi mi, obcy mężczyzna, który wycierał właśnie ośnieżone buty i otrząsał ostrożnie obsypaną śniegiem burkę. Gdy po chwili weszła do przedpokoju matka, nieznanomy przedstawił się i prosił o pozwolenie przeczekania śnieżycy. Matka moja zmierzyła go nieufnym okiem, ale grzecznym i spokojnym

głosem poprosiła do salonu. Nieznajomy rozsiadł się odrazu na pierwszym lepszym fotelu i rozpoczął zdawkową rozmowę, mimochodem jednakże zapytując o przyczynę takiej samotności. Matka odpowiedziała mu wymijająco, że ojciec chwilowo tylko jest nieobecny i dlatego przebywa sama z dziećmi. Przybysz uśmiechnął się nieznacznie, jakby z zadowoleniem i zwrócił się w naszą stronę, przypatrując się nam przenikliwie. W tej chwili już nie przypominam sobie twarzy nieznajomego. Utkwiły mi tylko w pamięci jego ciemne, głęboko osadzone oczy, które odrazu zrobiły na mnie nieprzyjemne wrażenie. Ogarniał mnie jakiś dziwny lęk, gdy tylko oczy te skierowywały się w moją stronę. Siedziałem więc chmurny i zatrwożony, co chwila tylko rzucając krótkie spojrzenia w stronę nieznajomego. Na dworze tymczasem zrobiło się już zupełnie ciemno. Śnieg padał bezustanku, a wiatr w dalszym ciągu świszczal ponuro i hulał wśród gałęzi drzew.

Zwolna zaczęło mnie ogarniać dziwne uczucie lęku. Jakiś wewnętrzny głos szeptał mi bezustanku, że oto jesteśmy sami w obecności obcego nieznanego człowieka i że za chwilę stanie się coś niezwykłego i strasznego. Wcisnąłem się głębiej w fotel i coraz baczniej obserwowałem przybysza. Brat mój tymczasem przyniósł z dziecinnego pokoju olbrzymie pudło ołowianych żołnierzy i ze spokojem począł je ustawiać na podłodze. Z początku z niechęcią przyglądałem się poustawianym figurkom, ale po chwili uspokojony beztroskim wyglądem brata zapomniałem o niedawnych obawach i również przyłączyłem się do zabawy. Po paru minutach nieznajomy przerwał rozmowę z matką i podszedł do nas, pytając się z uśmiechem czy i jemu pozwolimy wziąć udział w bitwie. Z początku niechętnie odnosiliśmy się do intruza, gdyż zdziwiło nas, że dorosły człowiek chce się bawić dziecinnymi zabawkami, ale po chwili, gdy nieznajomy zaczął nam tłumaczyć zasady bitwy i ustawiać żołnierzy, udobruchaliśmy się i zabawa poszła rżnię i wesoło.

W pewnym momencie, gdy ustawivszy oddział kawalerji, nie mogłem sobie poradzić z odpowiednim umieszczeniem dowódcy, towarzysz zabawy wziął go z moich rąk, postawił na odpowiednim miejscu i z uśmiechem zapytał, czy ten wspaniały jeździec ma wyobrażać mego ojca.

Zabawa tak mnie pochłonęła, że zupełnie zapomniałem o poprzednich przykrych chwilach lęku i nieufności do nieznajomego i szczerze przyznawałem mu rację i opowiedziałem o wyjeździe ojca na wojnę.

Wiadomość ta ztobiła widać duże wrażenie na przybyszu, gdyż uśmiechnął się tajemniczo, wstał i począł przechadzać się dużymi krokami, zwiesivszy w zamyśleniu głowę.

Zastanowiło mnie to. Instynktownie przeczułem, że uczyniłem coś złego i znowu ogarnęło mnie dziwne uczucie lęku. Nieznajomy tymczasem przechadzał się w dalszym ciągu i co chwila spoglądał na zegarek, jak gdyby się dokądś śpieszył, lub na coś oczekiwał.

Zacząłem obserwować go uważniej i gdy podniósł głowę, ujrzałem ze zdziwieniem, że twarz jego straciła poprzednią maskę obojętności i zdudzenia i wyrażała teraz jakieś mocne, niezachwiane

postanowienie. Powoli twarz poczęła zmieniać swój wyraz, na wargi wypełził jadowny, szatański uśmiech, a oczy zwięzały się coraz bardziej, aż wreszcie pozostały tylko dwie wąskie, ciemne szparki.

Uczulem wyraźnie, że na widok tej przemiany zimne krople potu poczynają mi występować na czoło. Już chciałem krzyknąć, gdy nagle nieznamy skoczył błyskawicznie w stronę stołu, przykręcił knot lampy tak, że w pokoju zrobiło się prawie ciemno, wyjął spokojnie rewolwer, skierował go w pierś matki i rzucił krótko: — Pieniądze, albo śmierć!

Krzyknąłem przeraźliwie i instynktownie rzuciłem się w stronę matki. Teraz dopiero zrozumiałem, jak bardzo ją kocham i z przerażeniem uświadomiłem sobie możliwość jej utracenia.

I gdy drab z szyderczym uśmiechem ścigał z jej rąk pierścionki, ja przytuliłem się do niej całym ciałem i zasłochałem głośno, spazmatycznie. A ona objęła moją głowę ukochanymi rękoma, podniosła ją i długo, długo wpatrywała się w moje dziecinne zapłakane oczy. A potem pochyliła się i złożyła na mem czole długi, gorący pocałunek...

Od chwili tej minęło wiele, wiele dni.

Lecz i teraz jeszcze, gdy po tylu latach obraz jej już tylko niewyraźnie maluje się przed memi oczyma, czuję na swem czole ten ostatni, gorący pocałunek. I wtedy wydaje mi się, że znowu jestem dzieckiem, że nic się dotychczas niezmieniło i, że za chwilę ukaże się znowu ukochana ponad wszystko postać, pochyli się nademną i jak dawniej złoży na mem czole pełen miłości jedyny, niezapomniany pocałunek...

Tip.

***Rady dla początkujących**

Chciałbym ułatwić zadanie przyszłym pokoleniom, które pisać będą do „Sztubaka“, przeto postanowiłem skreślić kilka typowych dla tego pisma fragmentów, starając się dorównać w nich pisarzom poprzedniego rocznika.

Artykuł polemiczny można zacząć tak:

„Na wstępie muszę stwierdzić, że odpowiadanie takiemu niedorozwiniętemu smarkaczowi, jak kol. XY stoi poniżej mojej godności, ale ponieważ rozgniewały mnie nieczne insynuacje tego osobnika, który nie umie wznieść się na wyżyny dyskusji sine ira et studio, jak to czynię ja w moich umiarkowanych i w spokojnym tonie utrzymanych artykułach, przeto muszę zaznaczyć, że jeżeli spotkam gdzie na ulicy tego kretyna, który nie ma pojęcia o grzeczności, który sili się na marny i niesmaczny dowcip, który stara się ośmieszyć uosobienie autorytetu, jakie ogół widzi w mojej osobie, to wybije mu wszystkie zęby i spuszczę takie lanie, że ruski miesiąc popamięta! Kochany Kolego XY, chcecie mi uwierzyć, że chodzi mi jedynie o Wasze dobro!“

Artykuł propagujący sport można zacząć tak:
„Czyżby kretyni? — mówi, uśmiechając się, starszy jegomość, który spogląda na młodych bokserów. Niestety, nie wie on, że nie można wogóle znaleźć lepszego środka na rozwój umysłowy, jak właśnie boks. Boks wyrabia uwagę, bystrość, zdolność jasnego i logicznego myślenia i silnego argumentowania. Sprawdzono, że na 100 wybitnych myślicieli, przynajmniej 99-u zawdzięczało swój poziom umysłowy uprawianiu tego pięknego sportu“.

Nowel na podstawie prawdziwych wydarzeń, lub wspomnień z dzieciństwa pisywać nie należy, bo powiedzą, że plagjat. Wolno natomiast pisywać nowele całkowicie wyssane z palca, byle głębokością myśli, bogactwem treści i pięknem formy dorównywały niżej przytoczonej:

ROMANTYCZNE SPOTKANIE.

Park nasiąknięty był romantyzmem jak gąbka wodą. W zamroczy jasno fijołkowego zmierzchu w ciemne kropki rozkładała się polska, złocista jesień, która przedzą babskiego lata omotała serca ludzkie. Po trawnikach włoczyły się osmętnice, jak z tetmajerowskiego wiersza i psuły powietrze jakąś tęskną, wilgotną zadumą. Nagle stało się coś dziwnego, niesłychanego, szalonego; zjawisko nadzmysłowe, metapsychiczne, transcendentalne niemal: oto na plaśkiej, szarej, długiej, opaszczonej, okrytej żwirem, skreconej jak gruba kiszka, samotnej, milczącej jak hipopotam, zamyślonej, tęsknej, zaświatowej niemal, parkowej ścieżce ukazał się uczeń w błękitnym mundurku z czerwonym kołnierzem, a uczyniwszy to poszedł dalej. Jak się później okazało i jak się może już niekiedy inteligentniejsi czytelnicy domyślają, był to chłopiec we własnej osobie. Jednocześnie z drugiej strony tejże samej drogi ukazało się zjawisko w spódniczce, które stąpało lekko i eterycznie jak sam eter, czyniąc to więcej jakoby z przyzwyczajenia, niż z istotnej potrzeby.

Ujrzawszy tak niesłuchanie dziwnego młodzieńca, zjawisko spiekło raka w gorącej wodzie swej krwi, ale zbladło natychmiast, zobaczywszy całą tragiczną bezowocność tego wysiłku. Chłopiec minął zjawisko, nie ukłoniwszy się nawet, co mogłoby znaleźć pewne usprawiedliwienie chyba w tem, że go nie znał.

Zasmucony i podniecony tem przedziwnem spotkaniem, szedł nasz chłopiec, a w duszę jego jak zakłęta trucizna sączyła się głębia myśli wielkich i szumnych, myśli, które wielki nasz wieszcz tak pięknie wypowiedział w poemacie, zaczynającym się od słów „Stary somsiad Pykała chciał mieć dzieci porzudne...“

Gdy przyszedł wreszcie do domu, po niezwykłym słowie „dzień dobry“, które rzucił domownikom, poznali wszyscy, że zaszło coś niepokojącego. Chłopiec (teraz, gdy zbliżamy się do końca noweli, mogą wyznać otwarcie, że był to istotnie on) powziął nagle dziwny zamiar odkrycia swej duszy przed zinnem i nieczulem na jego cierpienie otoczeniem. Ale w ostatniej chwili pohamował się i siląc się na żart, rzekł dowcipnie: „Ładną dziś mamy pogodę“. Nikt się jednak nie roześmiał. Tak! Mało mamy dziś ludzi, którzy potrafią ocenić dobry dowcip.

Kronika

„Wesele“ Wyspiańskiego

Sekcja Dramatyczna przy „Samopomocy“ uczci 25-lecie śmierci Wyspiańskiego, wystawieniem największego jego dzieła. Role główne już są obsadzone przez najwybitniejsze Panie-amatorki z Kalisza i znane „sławy sceniczne“ naszego gimnazjum. Próby już są w toku. Reżyseruje sztukę p. prof. Nowosielski, pracując z wielkiem poświęceniem nad urobieniem surowego jeszcze niekiedy materiału aktorskiego. Specjalne kostjomy do „Wesela“ sprowadzone będą z teatru Jaracza „Ateneum“ w Warszawie. Wystawienie sztuki projektowane jest około 5-go grudnia.

Zamknięcie sezonu w P. W. M. S.



Dnia 9. X. 1932 r. odbyło się uroczyste zamknięcie sezonu na Przystani Wioślarskiej Młodzieży Szkół Średnich w Kaliszu i opuszczenie masztu przez Prezesa Rady Pedagogicznej Państwowej Przystani Wioślarskiej w Kaliszu. Zdjęcie przedstawia ostatni wyjazd reprezentacyjnej czwórki Państw. Gimn. im. A. Asnyka przed opuszczeniem masztu w następującym składzie: 1) J. Zieleniewski, 2) J. Anczykowski, 3) A. Wasserman, 4) A. Brauner, na sterze p. profesor Baworowski, Naczelnik Przystani.

Zebrańie Koła L. O. P. P.

Dnia 28. X. 1932 r. odbyło się zebranie członków koła L.O.P.P. Przez aklamację wybrano: prezesem — M. Palczewskiego, kl. VIII; wice-prez. — St. Niżnika, kl. VII; sekretarzem — Wł. Moga, kl. VII; skarbnikiem — J. Tęšiorowskiego, kl. VII. Opiekun Koła—p. prof. Kuczewski.

Ze Zjazdu Szkolnych Komitetów Redakcyjnych „Kuzni Młodych” w Warszawie

W dniach 30 i 31 ubiegłego miesiąca odbył się w Warszawie zjazd Szkolnych Komitetów Redakcyjnych „Kuzni Młodych”, ogólnopolskiego czasopisma młodzieży szkolnej, redagowanego w Warszawie, a rozpowszechnionego na terenie całej Polski. Do Warszawy zjechało się przeszło dwustu przedstawicieli młodzieży szkolnej nawet z najodleglejszych zakątków naszego kraju i przez ich usta mogła się porozumieć cała polska młodzież w sprawie żywo ją obchodzącej, bo w sprawie programu „Kuzni Młodych”.

Na posiedzeniu w gimn. Mickiewicza starły się różne poglądy i wreszcie w dyskusji wyłonił się wniosek, który brzmiał:

Zjazd Szkolnych Komitetów Redakcyjnych postanawia dotychczasowy program „Kuzni Młodych” kontynuować. Przedstawia się on następująco:

„Kuznia Młodych” ma na celu wychowywać młodzież państwowo, przygotowywać ją do przyszłej pracy państwowej i obywatelskiej, a w tych ramach poruszać często sprawy narodowe i ogólnoludzkie.

Zjazd postanowił dążyć do urzeczywistnienia tego programu przez wzmoczenie pracy Komitetów Szkolnych, nawiązanie łączności ideowej z ogółem młodzieży w Polsce i z pismami lokalnymi, wydawanymi przez niektóre szkoły i drukowanie serji odpowiednich artykułów w „Kuzni Młodych”.

Naszem zdaniem „Sztubak” powinien dostosować się do stanowiska ogółu młodzieży polskiej.

Zresztą celem Zjazdu było nawiązanie łączności ideowej między młodzieżą na prowincji, a Warszawą.

Uważam jednak, że tak samo jak tam, na Zjeździe, cała młodzież szczerze wypowiedziała się za wspólnym programem „Kuzni” i pism lokalnych, tak i tutaj, w Kaliszu, młodzież śmiało i odważnie wypowie się w tej ważnej sprawie. T. P.

Likwidacja Kasy Oszczędności

W związku z likwidacją Uczniowskiej Kasy Oszczędności na terenie naszego gimnazjum i przeniesieniem jej do P. K. O. uczniów, którzy złożyli większe, lub mniejsze oszczędności, a których już niema w szkole, zechcą się po nie zgłosić do gimnazjum w terminie nie dalej, jak do 10 stycznia, w przeciwnym razie oszczędności te zostaną przekazane „Samopomocy” uczniowskiej.

Z koła historycznego.

Pod koniec września br. zostało założone na terenie naszego gimnazjum Koło Historyczne, obejmujące uczniów klas 6-ej, 7-ej i 8-ej. Opiekunem Koła jest p. prof. W. Fabrycy.

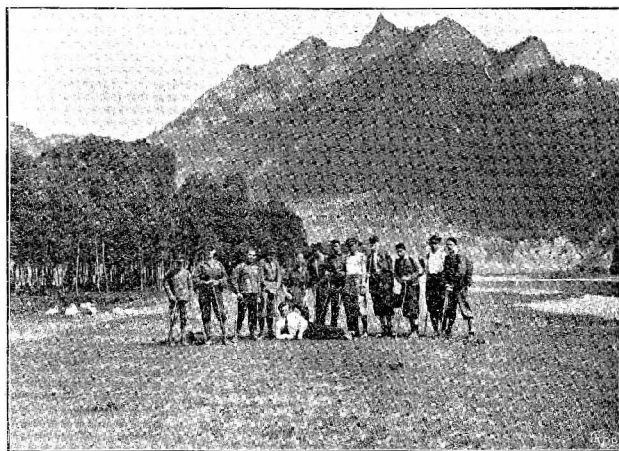
Od czasu powstania Koła wygłoszono 5 referatów, które wywołały wśród obecnych mniej lub więcej ożywioną dyskusję. Poza

referatami ma Koło za zadanie organizowanie akademji w dniach świąt narodowych. Obecnie Koło pracuje nad urządzeniem uroczystości w dniu rocznicy odzyskania niepodległości.

Z życia sportowego.

W połowie października br. ukończono ostatecznie pracę nad zorganizowaniem Międzyszkolnego Klubu Sportowego. Klub obejmuje koła sportowe, pracujące na terenie szkół kaliskich. Koła te prowadzą poszczególne sekcje, tak sportów letnich, jak i zimowych. Założenie M. K. S.-u jest dowodem wzmożonego ruchu sportowego wśród młodzieży i da jej zapewne odpowiednie warunki pracy i fachową opiekę. Praca w poszczególnych kołach idzie już normalnym trybem, a na terenie naszego gimnazjum poszczególne sekcje w porozumieniu z Zarządem Koła zorganizowały międzyklasowe zawody w lekkiej atletyce, koszykówce i ping-pongu.

Nasi koloniści w Pieninach.



Dorocznym zwyczajem „Samopomoc” przy naszym gimnazjum urządziła i tego roku kolonje w górach, w Dobrej k/Limanowej dla swych niezamożnych członków. Koloniści, prawie wszyscy zawzięci turyści, urządzali stale wycieczki górskie, między innymi do Pienin, gdzie też sfotografowali się na tle najwyższego, a zarazem najpiękniejszego szczytu w Pieninach.

Z życia drużyny harcerskiej

Tegoroczne wakacje spędziła nasza drużyna w malowniczej miejscowości pod Ojcowem, w Pieskowej Skale. Po trzydniowym

zwiedzaniu Krakowa, drużyna nasza w liczbie 21 chłopców udała się szosą, położoną w przepięknej dolinie Pądnika, do odległej o 28 km. Pieskowej Skały. Obóz mieścił się na zboczu wzgórza, porośniętego mieszanym lasem. Zewsząd otaczały nas fantastyczne skały wapienne, w dole szumił Prądnik, a w oddali widać było zamek. Czas płynął szybko i przyjemnie. Wielka łąka służyła jednocześnie za boisko i ring. Na szosie mieściła się, znaczone kamieniami dziesięciometrowymi zresztą niezbyt dobra bieżnia. Raz tylko udało się osiągnąć na tej wyboistej szosie czas 8,2 na 60 m. Do innych rekordów obozu należał rzut kulą 9,98 m., rzut oszczepem 41,30 i skok wzwyż 1,45 m.

Jedną z atrakcji obozu była wycieczka parami. Na 36 godzin wypuszczono po dwóch chłopców z trasą 50-cio kilometrową, obowiązkiem nocowania w szałasie, 3-krotnego gotowania, zrobienia szeregu szkiców, dobrego uczyńku itd. Naogół wyniki dość dobre.

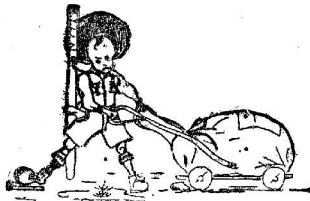
Obóz obfitował we wszelkiego rodzaju „pechy”. W Ostrowie spóźniliśmy się minutę na pociąg do Krakowa i czekaliśmy za to 7 godzin, w pierwszych dniach zgubiliśmy dysk, którego dotkliwy brak dawał się odczuć przez cały obóz i kulę, która się na szczęście znalazła.

Do ciekawszych urządzeń w obozie należała winda na wodę: można nią było ciągnąć wodę ze strumienia prosto do kuchni.

Z ważniejszych wypadków na obozie należy wymienić naderwanie ścięgna przy starcie do sześćdziesiątki, burzę, która przepłukała jeden z namiotów i złamanie masztu przy zwijaniu obozu. Wszystkie te szkody powetowaliśmy sobie zdobyciem 13 stopni i 20 przeszło sprawności. Wzorowy ten obóz prowadził były drużynowy, kierownik poprzednich obozów ćwik Jan Werner.

Obecnie drużyna nasza liczy 70 członków w 6 zastępach. Dnia 11 bm. odbyło się otwarcie roku harcerskiego. Między innymi odbył się „bieg harcerski”, w którym drużyna nasza zajęła jedno I-sze miejsce (grupa najmłodsza) i dwa II miejsca (dwie grupy starsze).

Obecnie zaczęliśmy intensywną pracę w celu przygotowania się do Złotu Skautów z całego świata w Budapeszcie. Złot ten t. zw. Jamboree odbędzie się w sierpniu przyszłego roku. Na Jamboree pojedzie reprezentacja drużyny, składająca się z chłopców dobrze wyrobionych w technice harcerskiej. Pracą w drużynie kierują: drużynowy ćwik Walerjan Binek i ćwikowie Eugenjusz Skupiński i Andrzej Zardecki jako przyboczni.



Dział rozrywkowy

od redakcją kol. L. Wojtczaka, kl. VIII.

Dobre rozwiązania krzyżówki z Nr. 1 nadęstali koledzy: Żuchowski J. VIII, Ciosnowski IVa, Eljasz M. V. i Pałkowski VIb. Nagrodę książkową „Quo vadis?” przyznano drogą losowania kol. Zuchowskiemu.

WIZYTÓWKI

Ul. H. Pankiewicz, kl. V.

Czem zajmuje się Pan?

AL. HUCBERT

Czem ma zamiar być?

OLEKTENERKICHT

Jakiej narodowości jest pan?

CZ. OPTYK

G. URAL

Rozwiązania nadsyłać należy do 25 każdego miesiąca.

Odpowiedzi

Kol. „Kenaj”. Nie nadaje się.

Kol. Eljasz. Przyjmujemy.

Kol. Pankiewicz. Przyjmujemy.

Odpowiedzi Redakcji

Kol. Włas. — Przepraszamy bardzo, ale ze względów od nas niezależnych, zamieścić nie mogliśmy. Przesyłamy pozdrowienia i prosimy o dalszą współpracę.

Kol. kol. Jaga Boreżko i He-Lena. Ze względów technicznych prędzej zamieścić nie mogliśmy. Prosimy o dalsze utwory.

Kol. Ina W. — Naturalnie „sztubak” przechera zdradził. Nie warto było pisać o nim. Radzimy przelać sympatje z niewiernego „sztubaka” na „Sztubaka”.

Kol. „Isia”. — Niestety żaden z obecnych redaktorów nie jest zakochany (przynajmniej oni tak twierdzą) i dlatego nie mogliśmy się wczuć w pani wiersz.

Koleż. W. J. i kol. M. Ś. — Prace zrobiły na nas dobre wrażenie, jednak z powodu nawału materiału nie mogliśmy umieścić. Prosimy się nie zniechęcać.

Kol. „Ever“. — Praca oryginalna pod względem stylu, a szczególnie ortografji. Niestety ze względu na przewidziany sprzeciw zecera, zamieścić nie mogliśmy.

Kol. Kott. — Odkładamy do następnego numeru.

Kol „Hanka“: Ach! Żebyśmy choć raz otrzymali wiersz od Jagiellonek, w którym by nic nie było o miłości! Na litość Boską niech się kol, odkocha, bo zaleje kol. całą Redakcję swemi wynurzeniami miłosnemi. Niebezpieczna z kol. kobieta!



DRUKARNIA
ZIEMI KALISKIEJ
SP. z OGR. ODP.
AL. JÓZEFINY 11 KALISZ TELEFON 209

Wykonywa wszelkie prace w zakres drukarstwa
— wchodzące, po cenach przystępnych. —

WYKONANIE SOLIDNEI DOSTAWA TERMINOWAI

SALON SZTUKI FOTOGRAFICZNEJ
nagrodzony wielkim złotym medalem

J. JACKOWSKI

Kalisz, ul. Piłsudskiego 41.

Wykonywa artystyczne portrety,
fotografie grup, uroczystości
i t. p. na najnowszych
papierach kolorowych

Wykonanie szybkie. Ceny umiarkowane.

Pierwszorządny Zakład Krawiecki

ALEKSANDER SZEWIEJA

w Kaliszu, ul. Marjańska 2

Specjalność:

mundury szkolne i harcurskie.

Wykonanie solidne Ceny przystępne

Zakład Księgarsko - Wydawniczy

pod wezw. św. Józefa

Sp. z ogr. odp.

Kalisz, ul. Kanonicka 2.

Książki szkolne dla wszystkich zakładów naukowych,
treści religijnej, pedagogicznej oraz dla młodzieży. **Nuty**
na wszelkie instrumenty. **Bogaty dział**
dewocjonalji: figury świętych, obrazy, różańce, meda-
liki, medaljony, wizerunki świętych. Bogaty wybór **ksią-
żek do nabożeństwa** od 30 gr. **Świece kościelne.**
— **Materiały pisemne, wszelkie przybory biurowe.** —

Pomoc fachowa w zaopatrywaniu bibliotek parafjalnych i organizacyjnych oraz porady
w zakresie spraw wydawniczych i drukarskich, na osobiste zgłoszenia zupełnie bez-
interesownie, listownie — za zwrotem kosztów korespondencji.

Uwaga!

Koledzy!

Uwaga!

W materiały piśmienne zaopatrujcie się jedynie

w „**Spółdzielni Uczniowskiej**“

przy gimn. państw. im. A. Asnyka, która posiada
na składzie po cenach minimalnych: bruljony,
— — zeszyty, pióra, ołówki i t. p. — —

Popierajcie firmy ogłaszające się w „SZTUBAKU“!

Księgarnia
WACŁAW KLEPAŁDY
Kalisz, ul. Kanonicka 1993

Salon Artystyczno - Fotograficzny

H. Rajski

w Kallszu, ul. Babina Nr. 1.

Wykonywa artystyczne portrety,
fotografie grup, uroczystości itp.
na najnowszych papierach kolo-
rowych. Wykonanie szybkie.
— — Ceny umiarkowane. — —

Zdjęcia przy świetle wykonywa
się w dzień i wieczorem.

Kwiaciarnia

M. Stasiak

ul. Piłsudskiego 35.

poleca w wielkim wyborze
kwiaty doniczkowe i cięte.

ZAKŁAD KRAWIECKI

L. GRĘDA

Plac 11-go Listopada № 2

Poleca pierwszorzędnie wy-
konane mundury szkolne,
ubrania cywilne i wojskowe
z własnych i powierzonych
materiałów.

Wytwórnia rękawiczek skórkowych

J. Adamczewski

Kalisz, ul. Piłsudskiego 10.

Poleca w dużym wyborze: rękawiczki, pończochy, skarpetki, koszule, kołnierzyki, krawaty, czapki kapelusze, szale, chusteczki, spinki i t. p. od najskromniejszych — do najwykwintniejszych. —

Słodocze

Fuchsa,

Wedla

zawsze świeże

poleca

Aleksander Ulrych

Kalisz, ul. Piłsudskiego 1.

Pracownia obuwia męskiego
damskiego i dzieciennego

W. Ratajewski

Kalisz,

róg 11 Listopada i Łaziennej.

Wykonywa roboty solidnie
— po cenach niskich. —

Pralnia Chemiczna i Farbiarnia

C. Wojciechowski

Kalisz,

ul. Warszawska 15.

St. Graczyk

Kalisz, Warszawska 3,

(róg Chodyńskiego).

Poleca: obuwie

wszelkiego rodzaju

z własnej wytwórni

po nader niskich

c e n a c h.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

FABRYKA
BISZKOPIÓW I PIERNIKÓW
K. MYSTKOWSKI
KALISZ

TELEFON Nr. 407

NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO ZAKUPU!
NAJPIĘKNIEJSZE WZORY!
NAJWIĘKSZY WYBÓR!

ALBUMY

do pocztówek, fotografii i poezji

od najskromniejszych do najwykwintniejszych
w wielkim wyborze poleca:

A. BANASZKIEWICZ

Kalisz, Plac 11 Listopada, № 14

— Płyty gramofonowe. Albumy. Kalendarze marmurowe. —
— — — Wyroby zakopiańskie i t. p. — — —